

43 9

RAPORT KADETA BOLESŁAWA MARCINKA, ŁĄCZNIKA POMIĘDZY KWATERĄ GEN. LUKOSKIEGO I KWATERĄ GEN. LANGNERA W TARNOPOLU POD SOWIECKĄ OKUPACJĄ W 1939r, DOTYCZĄCA POLSKICH OFFICERÓW, KTÓRZY ZOSTALI WYWIEZIENI DO OBOZU JENIECKIEGO W STARO-BIELSKU I ZAMORDOWANI W MAJU 1940 ROKU PRZEZ N.K.W.D. POD CHARKOWEM.

W dwa dni po wkroczeniu oddziałów Armii Czerwonej do Tarnopola zostałem zwolniony ze szpitala wojskowego i zamieszkałem tymczasowo u znajomych kpt. Wojakowskiego, którego syn był ze mną uczniem Korpusu Kadetów w Rawiczu. Mój kolega i jego rodzice dołączyli do oddziałów gen. Maczka i wyjechali do Rumunii przed wkroczeniem bolszewików do Tarnopola. Do tarnopolskiego szpitala wojskowego ewakuowano mnie ze Lwowa sześć dni przed wkroczeniem bolszewików do Polski. Na wieść o "inwazji" Polski przez bolszewików w dniu 16 września władze wojskowe w Tarnopolu postanowiły wypłacić trzy-miesięczny żołd wszystkim żołnierzom i oficerom, którzy znajdowali się w szpitalu. Ja otrzymałem trzy miesięczny żołd podporucznika, bo płatnik nie wiedział co ze mną zrobić i powziął tę decyzję po konsultacji z komendantem naszej szpitalnej sali. Te pieniądze, jedyne jakie posiadałem, pozwoliły mi przeżyć pierwsze dwa tygodnie sowieckiej okupacji Tarnopola.

Pod koniec września, albo na początku października spotkałem w Tarnopolu rannego płk. Wir-Konasa, który szedł na opatrunek do szpitala. Szedł sam bez sowieckiego wartownika, bo dał słowo honoru "komandirowi" obozu polskich jeńców, że powróci do obozu po każdej wizycie do szpitala. Płk. Wir-Konasa i jego całą rodzinę znałem z Bielska gdzie był zastępcą dowódcy-dywizji podhalańskiej. Obydwaj jego starsi synowie byli ze mną w Korpusie Kadetów w Rawiczu - Jacek w drugiej kompanii a Tedeusz ze mną w czwartej kompanii. Znałem ich i przyjaźniłem się z nimi od 1936 roku i bywałem w ich domu dość częstym gościem gdy przyjeżdżaliśmy z Rawicza na wakacje trzy razy w roku. Państwo Wir-Konasowie byli zawsze bardzo gościnni i przywiązałem się do całej rodziny aż do teraz przez wszystkie tarapaty wojenne.

Płk. Wir-konas ucieszył się że mnie spotkał i powiedział mi, że został wzięty do niewoli przez bolszewików po stoczony z nimi bitwie w której został ranny. Powiedział mi również, że bolszewicy zorganizowali w Tarnopolu dwa punkty zbiorcze jeńców polskich, jeden pod dowództwem gen. Łukoskiego a drugi pod dowództwem gen. Langnera. Płk. Wir-Konas zabrał mnie ze sobą do kwatery gen. Łukoskiego i przedstawił mnie generałowi jak również wielu innym oficerom, którzy byli wówczas zainteresowani moją osobą. Od tego spotkania byłem prawie przez dziesięć dni łącznikiem i gońcem pomiędzy kwaterą gen. Łukoskiego i gen. Langnera. Przenosiłem prawie codziennie listy powierzone mi przez gen. Łukoskiego i gen. Langnera. Zawartosci tych listow nie znam, bo były to napewno sprawy poufne, więc mi jako łącznikowi i gońcowi nie podano ich do wiadomości. Nie "wpadłem" również nigdy, więc sowieciarze i ich władze nie znalazły również treści tych raportów i listów.

Załatwiałem również rozmaite sprawy natury osobistej oficerów, którzy mieli znajomych lub krewnych w Tarnopolu albo pragneli zawiadomić listownie swoje rodziny, że są w sowieckiej niewoli. Sowieccy żołnierze, pilnujący naszych oficerów, nie robili mi nigdy większych trudności kiedy przychodziłem z "odwiedzina" do naszych oficerów w obydwóch kwaterach jenieckich. Widocznie patrzeli na mnie jako ucznia gimnazjum, którym oczywiście byłem. Sowieciarze nie wiedzieli oczywiście, że Korpusy Kadetów były integralną częścią Armii Polskiej i że kadeci zobowiązani byli służyć naszym władzom wojskowym gdy zachodziła na to potrzeba. Tę zasadę kierowali się zawsze wszyscy kadeci, których znałem osobiście. Wielu z nich walczyło i ginęło w naszej armii na Zachodzie, w A.K., w partyzance i w różnych sowieckich i niemieckich obozach koncentracyjnych i więzieniach, przynosząc nam wszystkim honor i chwałę.

W kwaterze gen. Łukoskiego dowiedziałem się od płk. Wir-Konasa i płk. Krasickiego z Łucka, że sowieciarze proponowali naszym oficerom wstąpienie do Armii Sowieckiej jako wykładowcy i instruktorzy na wyższych szkołach wojskowych w Kijowie i w Moskwie. Propozycje te robiono naszym wyższym oficerom sztabowym, szczególnie tym którzy ukończyli studia wojskowe w Wyższej Szkole Wojskowej w Paryżu. Dowiedziałem się również, że propozycje te spotkały się z gremialną odmową naszych oficerów, którym propozycje podobnej treści proponowane były przez sowieckiego gen. Timoszenkę, który przybył do Tarnopola i przemawiał do polskich jeńców w tej sprawie.

W połowie października, (dokładnej daty już nie pamiętam), oficerowie nasi zostali poinformowani przez sowieciarzy, że mają się przygotować do wyjazdu w głąb Rosji - prawdopodobnie do Kijowa. Nasi oficerowie nie dowiedzieli się od sowieciarzy żadnych prawdziwych szczegółów tej podróży, więc snuto na ten temat rozmaite przypuszczenia, którym się często przysłuchiwałem gdy je dyskutowano tak w kwaterze gen. Łukoskiego jak i gen. Langnera. Jak się potem okazało, była to prawdziwa wiadomość, chociaż sowieciarze prawie nigdy nie mówili prawdy swoim polskim jeńcom i więźniom.

W obawie przed niespodziewanym wyjazdem z Tarnopola w głąb Rosji niektórzy oficerowie w kwaterze gen. Łukoskiego i gen. Langnera prosili mnie żebym zabrał i przesłał, albo doręczył osobiście listy do ich rodzin pod okupacją sowiecką, lub przekazał je przez tych krewnych do rodzin znajdujących się pod okupacją niemiecką. Co też uczyniłem, nie odmawiając nikomu, bo uważałem, że wykonanie tych bardzo drobnych usług za moj żołnierski obowiązek. Dla mnie, siedemnastoletniego kadeta, marzącego o tym aby dosłużyć się rangi oficerskiej, każda prośba polskiego jeńca, niskiej czy wysokiej rangi, była właściwie zwykłym obowiązkiem w naszych tragicznych warunkach w 1939 roku. Muszę dodać, że żaden jeńiec w Tarnopolu nie starał się wykorzystać mojej szczerzej

gotowości do pomocy i żołnierskiej usługi. Gen. Łukoski i inni oficerowie w jego kwaterze martwili się, że moje częste odwiedziny obydwóch kwater jenieckich i moje "wyskoki" do miasta w celu załatwiania rozmaitych przysług i spraw jenieckich mogą się źle skończyć, jeżeli zainteresują się moją osobą agenci N.K.W.D. w Tarnopolu. Nie chcieli oni żeby mnie zagarnęli sowieciarze jako jeszcze jednego jeńca wojennego. Nie zdawałem sobie jeszcze wówczas sprawy z tego niebezpieczeństwa, chociaż byłem bardzo ostrożny, darząc sowieciarzy wielką nieufnością. Jeszcze wówczas nie nauczyłem się ich nienawidzić, ale obawiałem się ich służalczego prymitywizmu. Dlatego nie protestowałem wcale gdy płk. Wir-Konas i Krasicki polecieli mi wyjechać z Tarnopola, powierzając mi "misję" przekazania rodzinom niektórych oficerom w kwaterze gen. Łukowskiego listów i przesyłek osobistych w których były przeważnie pieniądze i kosztowności. Miałem je przekazać adresatom we Lwowie, na hutorze pod Równym, oraz w Łucku i Pińsku. Dodatkowe listy do tych samych rodzin zostały przesłane przez ordynansa gen. Łukowskiego. Był to Rusin, który został zwolniony jako jeniec przez sowieciarzy. Jego trasa miała prowadzić przez Stanisławów, gdzie przebywała rodzina gen. Łukoskiego przed wkroczeniem do Polski Armii Czerwonej, a potem przez Lwów do innych rodzin i miejscowości. Generał nie był pewien czy jego rodzina przebywała nadal w Stanisławowie i czy nie ukrywała się w innej miejscowości u znajomych. Generał dał mi listy i pieniądze dla swojej żony z prośbą o ich doreczenia żonie płk. Krasickiego w Łucku która miała je przekazać jego rodzinie przez wspólnych znajomych.

Przed moim wyjazdem z Tarnopola do Lwowa i ostatecznym pożegnaniu się z oficerami, których poznałem w kwaterze gen. Łukoskiego, zakupiłem cywilne ubranie za własne pieniądze dla płk. Wir-Konasa i zaproponowałem mu żeby się przebrał w ciwila i pojechał ze mną do Pińska do swojej rodziny. Można było

to zrobić bardzo łatwo w czasie jednej z jego częstych wizyt do szpitala gdzie chodził na zmianę opatrunku. Płk. Wir-Konas podziękował mi za moją inicjatywę ale nie zgodził się na moją propozycję, stwierdzając, że dał słowo honoru polskiego oficera, że powróci do obozu jenieckiego po każdej swojej wizycie do szpitala i słowa swojego nie może łamać. Wytkumaczył mi również, że są z nim w sowieckiej niewoli jego młodszy oficerowie, którzy towarzyszyli mu w czasie kampanii wrześniowej i dostali się wraz z nim do niewoli a których nie może teraz opuścić uciekając z niewoli. Zapłacił mi za cywilny garnitur, który mu przyniosłem i polecił mi doręczyć go jego starszemu synowi Tadekowi w Pińsku, co też uczyniłem.

Bez większych trudności kupiłem na stacji kolejowej w Tarnopolu bilet do Lwowa gdzie dotarłem po kilku godzinach bardzo powolnej podróży. We Lwowie podał adresatami listy i przesyłki naszych oficerów w Tarnopolu. Nie pamiętam ich nazwisk i adresów. Pojechałem również do koszar Korpusu Kadetów, gdzie spotkałem kilku profesorów i kolegów z Korpusu Kadetów w Rawiczu. Dostali oni tak jak ja rozkaz zameldowania się 1-go września we Lwowie. Dowiedziałem się od nich, że tylko garstka kadetów i profesorów z naszego rawickiego Korpusu Kadetów dotarła do Lwowa i że niektórzy z nich wzięli czynny udział w obronie miasta i "Góry Kadeckiej" przeciw niemieckim oddziałom armii i S.S. Niemcy wycofali się gdy pod Lwów podeszły oddziały Armii Sowieckiej. Lwów nie bronił się przeciw sowieciarzom, bo komendant wojskowy miasta skapitulował zanim obywatele mieli jakąkolwiek szansę zorganizowania obrony Lwowa.

We Lwowie dowiedziałem się od rodzin oficerów i ich znajomych, którym doreczyłem listy i przesyłki powierzone mi w obozie jeńców w Tarnopolu, że w całym mieście wzmaga się fala aresztowań wśród Polaków. Bolszewickie NKWD

wspomagane przez ukraińsko-polskie szumowiny komunistyczne zaczęli swoją akcję aresztowań wśród bardziej znanych rodzin polskich wyróżniających się swoimi osiągnięciami i patriotyzmem. Dowiedziałem się również, że już wówczas rozpoczęto we Lwowie organizowanie samo-obrony cywilnej i wojskowej, co zwiększyło czujność sowieckiego okupanta i nieustające represje policyjne przeciwko ludności polskiej. Lwów zrobił na mnie przygnębiające wrażenie, bo poznałem to umiłowane miastoⁱ jego mieszkańców gdy byłem przez jeden rok szkolny 1935-36 w pierwszej kompanii Korpusu Kadetów na Stryjskiej. Żyliśmy wówczas w tradycji Orląt Lwowa i jego patriotycznych obywateli. Pod okupacją sowiecką w 1939 roku miasto i jego mieszkańcy których spotykałem wydawali się być przygnębeni widokiem prymitywizmu sowieckich żołnierzy, którzy szwędali się po śródmieściu, wykupując wszystko co jeszcze było we lwowskich sklepach. Było mi smutno we Lwowie, bo wyczuwałem, że to bohaterkie polskie miasto straciło swój optymizm i beztroski stosunek do życia i codzienności pod wpływem naszej wrzesniowej klęski.

Po trzech dniach pobytu we Lwowie wyjechałem pociągiem do Łucka, gdzie odnalazłem rodzinę płk. Krasickiego. Przekazałem pani Krasickiej listy, pieniądze i kosztowności przesłane przez jej męża. Zdeponowałem również listy i przesyłki dla rodziny gen. Łukoskiego. Pani Krasicka podjęła się nawiązania łączności z rodziną gen. Łukoskiego w Stanisławowie przez wspólnych znajomych.

W Łucku zatrzymałem się przez blisko trzy tygodnie korzystając z gościnności pani Krasickiej i jej rodziny. Zaraz po przyjeździe do Łucka wstąpiłem jako uczeń do pierwszej klasy licealnej, aby otrzymać osobiste dokumenty, legitymacje i zaświadczenia szkolne, które potrzebne mi były abym mógł kontynuować moją podróż do rodziny płk. Wir-Konasa w Pińsku.

W domu państwa Krasickich było dwóch synów i jedna córka. Starszy syn był młodszy ode mnie o dwa lata. Była to patriotyczna, szczęśliwa i cywilizowana rodzina. W domu Krsickich była duża prywatna biblioteka zawierająca różności polskiej literatury oraz wspaniałych tłumaczeń utworów literatury powszechnej. Wieczorami cała rodzina czytała i dyskutowała ulubione książki. Było to też znacznie bezpieczniejsze zajęcie pod okupacją sowiecką niż szukanie rozrywek w mieście terroryzowanym przez komunistyczną milicję. Gościnność całej rodziny była prawdziwie polska, a pani Krasicka opiekowała się mną jak własnym synem. Miała ona wielu dobrych znajomych i przyjaciół w Łucku, bo była bardzo uczynna. Wielu ludzi przychodziło dyskretnie do jej domu ofiarując pomoc, lub prosząc o nią w wielu wypadkach. Nikt nie opuszczał jej domu z pustymi rękoma, lub bez zachęty i pocieszenia. Pani Krasicka była niezmiernie dzielną Polką.

Po trzech tygodniach pobytu w Łucku postanowiłem kontynuować moją podróż do Pińska, gdzie mieszkała rodzina płk. Wir-Konasa. Mój trzytygodniowy pobyt w Łucku był konieczny, bo dał mi to możliwość otrzymanie adresu pani Antoniny Wir-Konasowej, która mieszkała na "legionowej działce" niedaleko od Pińska przed wkroczeniem do Polski bolszewików. Płk. Wir-Konas nie znał jej nowego adresu w Pińsku w którego znalezieniu przez swoich znajomych pomogła mi pani Krasicka. Bardzo trudno było mi rozstawać się z rodziną Krasickich do której się serdecznie przywiązałem.

W czasie mojej podróży pociągiem do Pińska zatrzymałem się w Łunincu, bo pociąg szedł na trasę Baranowicze-Wilno, a tych którzy jechali do Pińska czekała przesiadka i nowe czekanie na lokalny pociąg. Zmęczony powolną i długą podróżą byłem głodny i spragniony, gdy wysiadłem na stacji w Łunincu. Postanowiłem dlatego szukać w tym małym miasteczku jakiejś restauracji, bo bufet na stacji w Łunincu był już nieczynny, chociaż było dopiero około dziewiętej

godziny wieczorem. Moje poszukiwania restauracji skończyły się nagle gdy zostałem zatrzymany przez patrol NKWD. Okazało się, że spacerowałem sobie po Łunincu w poszukiwaniu restauracji po godzinie policyjnej, za co groziła kara więzienia lub mandat pieniężny według zarządzeń w nowym systemie rządów bolszewickich. Znalazłem się niebawem w lokalnym więzieniu NKWD gdzie sprawdzono moje zaświadczenie szkolne i legitymacje wydane mi w Łucku i wsadzono do malej celi w której było liczne grono innych Polaków i Białorusinów czekających na przesłuchanie i decyzję "komandira" więzienia w ich sprawie. Przesłuchiwano mnie przez przeszło godzinę, ale kapitan NKWD traktował mnie pobłażliwie i po ludzku. Przeszukano pobieżnie mój plecak ale nie musiałem się poddać rewizji osobistej, która mogła się dla mnie źle skończyć gdyby znalaziono wszystkie rzeczy które wiozłem dla pani Wir-Konas i jej rodziny. Na zakończenie mojego przesłuchania kapitan NKWD stwierdził, że nie ma zaufania do mnie i że nie wierzy w prawdziwość moich zeznań, jako wroga Partii i Armii Czerwonej. Na poparcie swoich zarzutów położył na swoim biurku mój nóż do krajania chleba, który znalaziono w moim plecaku. Kupiłem go we Lwowie i był to napewno jeden z pierwszych importów sowieckich do okupowanej Polski. O moim nożu do krojenia chleba można było powiedzieć, że wyprodukowany został z kiepskiej stali sowieckiej o której mówiono we Lwowie, że "gnitsia i nie łamotsia". Na zakończenie swoich wywodów kapitan NKWD zarzucił mi, że mój nóż miał mi służyć do mordowania żołnierzy Armii Czerwonej a nie krajania chleba. Gdy zgiąłem mój nóż w obie strony bez złamania go i gdy stwierdziłem, że takim nożem nie może nikt zamordować "dzielnego i walecznego" żołnierza Armii Czerwonej, kapitan NKWD skapitulował i wydał rozkaz żeby mnie zwolniono następnego dnia przed porannym nadejściem lokalnego pociągu do Pińska. Byłem szczęśliwy, że mnie zwolniono z więzienia NKWD i beznadziejności sowieckiego systemu policyjnego, który oparty był na bezprawiu, który znany był w całej Polsce.

Z Łuninca dotarłem do Pńska po dwóch godzinach podróży lokalnym pociągami, który zatrzymywał się wielokrotnie na każdej małej stacji. Bez trudności znalazłem dom w którym mieszkała pani Antonina Wir-Konas wraz z całą jej rodziną. Mój przyjazd sprawił całej rodzinie dużo radości bo przywiozłem wiadomości, listy i przesyłki od płk. Wir-Konasa. Tadeusz Wir-Konas, mój rówieśnik, oraz jego młodszy brat Jacek uczęszczali do ogólnokształcącego gimnazjum w Pińsku. Ja również zostałem przyjęty do tego samego gimnazjum jako uczeń pierwszej klasy liceum dzięki moim zaświadczeniom szkolnym z Łucka. W tej samej klasie była również piękna i uczynna córka dyrektora naszego gimnazjum. Była ona bardzo popularna w naszej klasie, bo cieszyła się ogólnym zaufaniem swoich kolegów i koleżanek. Była to dla nas wszystkich ważna sprawa gdy zaczęliśmy organizować się w tajnym kółku patriotycznym przeciwko naszym sowieckim okupantom. To małe grono idealistycznych gimnazjalistów nie miało dostatecznego doświadczenia w anty-komunistycznej konspiracji i napewno nie przedstawiało jakiegokolwiek niebezpieczeństwa dla bolszewików. NKWD zainteresowało się naszym kółkiem dopiero po kilku "konspiracyjnych" zebraniach na których dyskutowaliśmy z wielkim zapałem ideowe cele naszego kółka. Zostałem wybrany prezesem naszego konspiracyjnego kółka, co ewentualnie zdecydowało o moim pospiesznym wyjeździe z Pińska gdy córka dyrektora naszego gimnazjum ostrzegła kilku z nas, że zainteresowało się nami lokalne NKWD, indagując jej ojca o naszych postępach szkolnych. Dwa dni po otrzymaniu tego ostrzeżenia i tuż przed Bożym Narodzeniem musiałem pożegnać się z panią Wir-Konas, moją "przyszywaną" wojenną "mamą" i jej rodziną i wyjeżdżać z Pińska do Brześcia a potem przez Małkinię do Warszawy pod okupację niemiecką, która wówczas na Boże Narodzenie 1939 roku wydawała się mniej niebezpieczna niż stalinowska okupacja Wschodniej Polski. W kwietniu 1940 roku zmieniłem swoje zdanie na ten temat gdy znalazłem się w niemieckim obozie koncentracyjnym Sachsenhausen pod Berlinem. Ucieczka z Sachsenhausen była dla mnie znacznie trudniejsza niż moja ucieczka z Pińska. Udała mi się dopiero w lipcu 1944 roku.